

Tomasz Kołodziejczak

**BARDZO CENNY PIERŚCIEŃ**

1.

Krzyk rozległ się niedaleko, za rogiem. Dalian i Berrok przyspieszyli kroku.

Za dnia te wąskie uliczki i małe podwórka należały do biegających dzieci, rozwieszających pranie kobiet i starców grzejących kości na progach domów. W nocy dzielnica Chłopskie Krocze przechodziła we władanie takich jak oni – rzezimieszków, złodziei, morderców. A te akurat ulice, od roku, odkąd wywalczyli sobie to prawo zabijając poprzedników, należały do nich – człowieka Daliana i półorka Berroka. Więc gdy usłyszeli krótki, zdławiony krzyk, przerwane w pół wołanie o pomoc, natychmiast poderwali się do biegu. Ktoś grasował w ich rewirze, ktoś łupił ich klientów!

Wypadli zza rogu wyciągając spod płaszczy długie sztylety. Nie zawahali się ani na chwilę, widząc, że mają przed sobą aż trzech przeciwników.

Zaskoczyli tamtych. Sztylet Berroka zagłębił się w miękkim ciele, nim dwaj pozostali podjęli próbę oporu. Najwyraźniej byli nowicjuszami w złodziejskim fachu. Pozwolili ofierze krzyknąć, potem dali się zaskoczyć. Na dodatek, miał brać nogi za pas, widząc prawowitych właścicieli terenu, próbowali się bronić. Wkrótce wszyscy gryźli ziemię. Skończyli, jak większość kandydatów do złodziejskiej kasty – tylko nielicznym udawało się przetrwać rywalizację siły, sprytu i bezwzględności. Dalian i Berrok znajdowali się gdzieś w środku złodziejskiej hierarchii – i to miejsce im wystarczało. Byli wystarczająco wysoko, by szanowano ich w bractwie, a dostatecznie daleko od wierzchołka, by nie zostać wplątanych w krwawe rozgrywki o władzę, toczone przez hersztów złodziejskiego cechu.

Trzy ciała drobnych rzezimieszków zostaną tu do rana. Zobaczają je ludzie i tam gdzie trzeba dotrze wiadomość, że Dalian i Berrok dobrze strzegą swojego terytorium.

Napadnięty, ofiara tamtych, to zupełnie inna sprawa – ubrany z cudzoziemska, starszy człowiek, mocno zbudowany. Parę lat temu sam pewnie by sobie poradził z tyloma napastnikami. Leżał na ziemi nieruchomo, oddychając ciężko, chrapliwie. Nie mogli go tu zostawić – gwardziści Katana ucieszą się na pewno ze śmierci trzech złodziei, ale zabójstwu przybysza zechcą przyjrzeć się bliżej. Poza tym, obcy mógł mieć przy sobie coś cennego, a może zostawił coś jeszcze w którejś z gospód. Warto sprawdzić.

– No, bierz go. Jeszcze trochę pociągnie – powiedział Dalian, obejrzaawszy rany człowieka. – Ale jak się nie pospieszymy, to może się przekręcić na naszych rękach.

– Uff, ciężki jak wół – jęknął Berrok, dźwigając do góry ciało. – Idziemy.

Krokiem tak szybkim, na jaki pozwalał niesiony ciężar, przeszli kilka uliczek, aż stanęli przed drzwiami małej szopy, przylegającej do ściany dwupiętrowego budynku. Berrok stuknął w nie dwa razy, odczekał chwilę, znów puknął. Po chwili rozległo się szuranie, drzwi skrzypnęły, a w szparze błysnął kaganek, pojawiła się zniszczona twarz starej kobiety.

– No, co tam synek, żeśta zrobili?

– Otwieraj, stara, szybko – syknął Berrok, napierając na drzwi ramieniem. Wnieśli ciało do komórki i położyli na podłodze. Kobieta kucnęła i przyłożyła ucho do piersi rannego.

– Dycha – spojrzała z bliska na jego twarz. – A z pyska to podobny do twojego wuja, Garama, tego co go pachółki tana Beora za nogi obwiesili na zamkowym dziedzińcu. Co to za jeden?

– Cicho matka, zagrzej no lepiej wodę – Berrok pochylił się nad mężczyzną, podetknął mu pod nos kubek zimnej, choć śmierdzącej wody, kilka razy uderzył w twarz. Przy okazji dokładniej obejrzał rany. Trzy pchnięcia sztyletu w pierś – bez szans na przeżycie.

– Ej ty, człowieku, jak ci tam?

Ranny jęknął. Otworzył oczy, zamrugał powiekami.

– Gdzie jestem? – jęknął.

– Wzięliśmy cię od tych zbójów, co cię napadli. Rano do felczera zaniesiemy. Coś za jeden, co?

– Dzięki, dobrzy ludzie, dzięki – wychrypiał stary. Nagle drgnął, zbierając resztkę sił, podniósł się nieco. – Gdzie mi tam, do felczera, gdzie... czuję że życie ze mnie wycieka... Pomóżcie mi jedną rzecz załatwić, a opłaci się wam to zdrowo, oj opłaci... dobrzy ludzie...

Łyknął wodę, ale nie zdołał jej połknąć, wyciekła mu z ust cienką strużką.

– Słuchajcie...

## 2.

– Wchodzić w to, matka, czy nie – Berrok ciężko podniósł głowę, rozejrzał się przekrwionymi oczyma. Dalian zaklął w duchu, bo nie lubił, jak pijany Berrok z twardego zbója zamienia się w synalka trzymającego się maminej kiecki.

– Wchodzić, synek, w trymiga – stara kobieta nie była trzeźwiejsza od swego pierworodnego, jedyne zresztą, którego udało się jej uchować. Dwaj młodsi dawno już gnili w ziemi zabici przez żołnierzy Katana. Była wielka, silna i pewnie sama mogłaby chodzić na łupieskie wyprawy, gdyby nie reumatyzm, który wykręcił jej nogi tak, że ledwie włóczyła się po ziemi.

Minęły dwa dni, odkąd znaleźli konającego człowieka – przybysza z dalekiej kowalskiej wsi. Zmarł niedługo po tym, jak opowiedział im swoją historię i poprosił o pomoc. Jeszcze przed świtem wynieśli trupa poza swój rewir i cisnęli gdzieś w krzakach. Od tamtego czasu pili tanie, młode wino, rozważając całą sprawę.

– Wciągamy w to Anunala? – znów spytał Berrok. Anunal był orkiem, z którym mieli układ – pomagali sobie w sprawach, do których potrzeba było więcej osób. Do niedawna, nawet się nigdy solidnie nie pobili, gdy dochodziło do podziału łupów. Ostatnio jednak ich kontakty nieco ochłodziły.

– Nie! – zarządziła Maydyra stanowczo – z Anunalem już się nie da uczciwie załatwiać nieuczciwych interesów, synek.

– Ehem – mruknął Berrok, a Dalian uznał, że czas włączyć się do dyskusji.

– Sami robimy – warknął. – Ty, stara, więcej już nie pij, musisz nam przyszykować żarcie na drogę. Ty Berrok idź, wsadź łeb w koryto, wytrzeźwiej. Ja tam też zaraz przyjdę.

– Patrzcie, no go, rządce – zaczęła zrędzić Maydyra, ale jak zwykle posłuchała Daliana – wstała i poszła do kuchni.

– No chłopie, powiedz tak naprawdę – Dalian klepnął Berroka w ramię. – Podobają ci się ta robota?

– Jakże inaczej, podoba – Berrok uśmiechnął się od ucha do ucha, wyszczerzając wyszczerbione zęby. – A najbardziej to mi się podoba, żeśmy tego starego pięknie wykiwali, co?

Zarechotali głośno, dopili wino z kubków i ruszyli ku sieni, w której stał cebrzyk z deszczową wodą. W myślach wciąż rozważali historię, którą udało im się ułożyć z wystękiwanych drżącym głosem słów umierającego człowieka.

Przybysz pochodził z bogatej kowalskiej rodziny z wyspy Tadem i nazywał się Orrik. Przybył do Ostrogaru, aby dopełnić pokuty za przewinę, której dopuścił się przed czterdziestu prawie laty. Miał wtedy siedemnaście wiosen i ojciec, głowa rodu, zabrał go do Ostrogaru na wielki targ. Ojciec chciał tam kupić najlepszą rudę, jako że dostał wcześniej zamówienie na wiele przednich mieczy. Niestety, w czasie podróży, ojca Orrika dopadła i powaliła jakaś choroba, wkrótce zmarł. Młody Orrik, choć w żałobie, ani myślał wracać do domu. Pierwszy raz znalazł się w wielkim świecie i zamierzał trochę go poznać. Służących odesłał na rodzinną wyspę z ciałem ojca, a sam zabrał złoto

przygotowane na zakup surowca i pod pozorem szukania kontrahenta, został w stolicy. Zdjął też ojcu z palca rodzinny pierścień niezwyklej wartości, przekazywany w kowalskim rodzie z pokolenia na pokolenie. Oby nigdy tego nie uczynił – przeklęty!

Pieniądze na zakup żelaza szybko przetracił: wiele pokus czyha w wielkim mieście na niedoświadczonego młokosa – wino, sprzedajne kobiety, hazard. A w burdzie, w którą się wplątał, stracił też rzecz najcenniejszą – ów niezwyklej wartości pierścień.

Wrócił do rodzinnej wsi pohańbiony i złamany. Przekazał kuźnię drugiemu po starszeństwie bratu, zrezygnował z dziedzictwa i znów ruszył w świat, tym razem, by odnaleźć to, co onegdaj stracił. I teraz właśnie złapał trop, wiedział już gdzie jest klejnot, gdy dopadła go ta niespodziewana i przypadkowa śmierć.

Prosił ich, Daliana i Berroka, o odnalezienie pierścienia i odniesienie go do rodzinnej wsi, oddanie bratu. Obiecywał, że zostaną hojnie wynagrodzeni.

Obaj rzeźmieszkowie nie mieli zaufania do stanu sakiewek kowali z odległego Tadem, znali za to wartość klejnotów na czarnym, rynku Ostrogaru. Tu też zamierzali przehandlować pierścień, tym bardziej, że daleka wyprawa nie wydawała się najbezpieczniejsza. Ich rewir był tutaj – na kilkunastu uliczkach i placykach Ostrogaru. Gdzie tam im, miejskim szczerom, włóczyć się po świecie.

Już samo zdobycie pierścienia wymagało sporego wysiłku.

Trzymał go bowiem w swym skarbczyku tan Or-ego, półelf, jeden z tych rycerzy, którzy włóczą się po świecie, oficjalnie głosząc, że tłuką złe stworzenia, a tak naprawdę, to szukając po prostu coraz to nowych karczm i dziewczek. Pierścień dostał się w jego ręce dość pokrętną drogą, o której Orrik nie zdołał już opowiedzieć. Or-ego zbierał egzotyczne (co znaczyło to słowo, ani Berrok, ani Dalian nie mieli najmniejszego pojęcia) przedmioty i ponoć pierścień kowali z Tadem bardzo mu przypadł do gustu. Kiedy umarł dziesięć lat temu, pochowano go w grobowcu na cmentarzu przy klasztorze Boga Oriaka, a na piersi położono pierścień. Orrik poznał losy rodzinnej pamiątki już wtedy, gdy tan nie żył. Przez kolejne dwa lata krążył po Orkusie i okolicznych wyspach, szukając kogoś, kto byłby w stanie odgadnąć czar zamykający drzwi grobowca. Udało mu się i teraz przekazał zakłęcie im, swoim wybawicielom, aby mogli odzyskać pierścień.

Dalian i Berrok na codzień gardzili szakalami plądrującymi groby bogatych mieszczan i szlachty. Czasem, gdy mieli pewność łatwego i obfitego łupu, brali się jednak i za taką robotę. Opowieści starego człowieka o wartości, jaką ma pierścień, rozbudziły ich chciwość dostatecznie, by się zdecydowali. Myśl o tej pracy, była tym przyjemniejsza, im częściej przypominali sobie, jak to pięknie wyprowadzili w maliny swoją ofiarę.

### 3.

– Tfu, parszywa robota – mruknął Berrok – Czy to nie lepiej sobie jakiś uczciwy fach znaleźć, szewcem zostać, albo zdunem? Na łeb ci nie cieknie, stryczek nie grozi, robota spokojna, kulturalna.

– Kulturalna – poprawił go Dalian. – A co ci się tak na mądralowanie zebrało, barania głowo. Pilnuj lepiej, żeby nas jakiś patrol nie przyuważył.

– Bo myślę tak sobie – Berrok był tej nocy w wyjątkowo filozoficznym nastroju – pozłodzić trochę: dobra rzecz. Majątek uszkrobać, życia trochę schwycić, żeby potem do śmierci w spokoju doczekać. A my ze sztyletem w plecach skończymy, albo na katowskim pieńku, zobaczysz.

– Przestań zrędzić, człowieku – syknął Dalian. – Bo co złego wywołasz. Patrz, dochodzimy.

Świątynia i przylegająca do niej nekropolia leżały na obrzeżach Południowej Dzielnicy. Niski gmach osłonięty drzewami i krzewami, otoczony żywopłotem, stał na niewielkim wzniesieniu. Mur ze starej, sypiącej się cegły otaczał cmentarzysko. Dochodzili właśnie do płotu, gdy zabiły dzwony świątynne, na znak, że przybytek Oriaka dziś zamyka już podwoje.

Dwaj mężczyźni zeszli z drogi i ukryli się w przylegających do płotu chaszczach. Po niedługim czasie koło nich przeszli ostatni wierni, wracający z wieczornych modłów. Na szczęście deszcz przestał padać, a noc zapowiadała się zimna i ciemna – tarczę księżyca zasłaniały chmury.

Dobra pora dla morderców, złodziei i cmentarnych hien.

– Zakładaj – Dalian podał Berrokowi mały medalion – kupiłem dziś od starego Gassona.

– Na co mi to paskudztwo? – Berrok obracał w dłoniach srebrną kulkę zawieszoną na złotym łańcuszku.

– Mnisi może i nie pilnują cmentarza, ale nie są pewnie tak głupi, żeby nie zastawić paru pułapek, na takich jak my. Medaliony pokażą nam, które miejsca lepiej ominąć.

– Przecież tam nic strasznego nie ma! Sprawdzaliśmy...

Cały poprzedni dzień spędzili na cmentarzu, dokładnie oglądając wszystkie ścieżki i zapamiętując położenie grobowca tana. Swobodnie poruszali się po terenie całej nekropolii, nie znajdując żadnych stref zakazanych czy pułapek.

– Dzień to dzień, a noc to noc, kto by im tam, łysym pałom, wierzył? – mruknął Dalian.

– A po co, na demony, te łyse pały miałyby w nocy pilnować spróchniałych mogił bezimiennych mnichów? Hieny nie na takich cmentarzach szukają zarobku.

– Durnyś Berrok – mruknął Dalian. – Równyś w tej materii swojej mamusce. Nie mówię o wielkich czarach obronnych, tylko o takich zabaweczkach, coby się na cmentarzu żadne parki nie gziły, a nekrofolaki nie organizowały swoich sabatów. A bo to jeden możny tak sobie dom obstawia?

– Dobra, dobra – Berrok wciąż gładził palcami srebrną kulkę. Wydawała mu się dziwnie ciepła – mimo chłodu na dworze.

Szybko, lecz po cichu wygramolili się z krzaków. Poruszone wiatrem gałęzie drzew szumiały dostatecznie głośno, by nikt nie usłyszał przekleństw złodziei, gdy gramolili się przez mur. Zeskoczyli obaj prawie równocześnie. Szybko wstali, bacznie rozglądając się dookoła. Obaj czuli lekki, podskórny niepokój.

Była noc, a oni znajdowali się na klasztorным cmentarzu.

– Mam nadzieję, że działają – mruknął Dalian, kładąc dłoń na medalionie. – Taka kupa forsy...

– Jaka kupa? – Berrok zatrzymał się gwałtownie.

– Ciii – Dalian przyłożył palec do ust. – A co żeś myślał? że darmo dają? Zapłaciłem dwadzieścia sztuk złota.

– Ile?! – Berrok złapał się za głowę. – Dwadzieścia sztuk złota?! Toż to majątek, skądęś je wyciągnął?

– Zwróci się przecież, nie?

– Ano, zwróci – mruknął Berrok – ale ja matkę chyba zabiję, że ci szkatułkę dała...

– No już, zamknij się, co? – fuknął Dalian i ruszył dalej.

Chmury wciąż zakrywały księżyc.

Wokół dwóch mężczyzn piętrzyły się nieregularne bryły szarych głazów. Skryte między

drzewami, otoczone krzewami – wyznaczały miejsca ostatniego spoczynku mnichów. Blżej klasztoru znajdowały się najstarsze groby – rytu w stokach jaskinie, zakończone okrągłymi komorami, wygrzebywane w ziemi tunele, grobowce przeorów, których imiona odnaleźć można było tylko w najstarszych klasztornych księgach. Grobów tych strzegły pojedyncze oznaczające wejścia kamienie, niegdyś bogato zdobione. Do dziś nie dotrwały nie tylko malunki, ale i płaskorzeźby, zniszczone przez wiatr i wodę. Im dalej od bramy, tym częściej starożytna surowość ustępowała miejsca zbytkowi. Do zbiorowych mogił mnichów prowadziły ozdobne bramy z wykutymi w piaskowcu portalami, ornamentami i rzeźbami. Reguła klasztoru zabraniała składowania w grobowcach cennych przedmiotów, jednak pozwalała na dowolne zdobienie samych mogił. Hieny cmentarne nie ukradną wszak kamienia.

Tą część cmentarza, przez którą szli Berrok i Dalian zabudowywano od niedawna – stały tu na razie głównie grobowce dobroczyńców klasztoru, którzy chcieli zostać pochowani w jego okolicy. W jednym z nich pochowano tana Or-ego.

Nagle Berrok poczuł, że amulet na jego piersi staje się strasznie gorący. Mężczyzna aż syknął z bólu. Zatrzymał się, dostrzegając, że coś dziwnego dzieje się także z Dalianem.

– Co jest... – zdążył wyszeptać.

– Cii... – Dalian przyłożył palec do ust. – To może być jakiś czar ochronny.

– Co teraz?

– W krzaki – zdecydował Dalian. – Łyse pały na pewno nie były rozrzutne, postawili pewnie te czary gdzieś tam, musimy je ominąć.

Klnąc i sapiąc wcisnęli się między obrastającą ścieżkę krzewy. Temperatura amuletów natychmiast spadła, jednak nowa trasa nie okazała się zbyt wygodna – gałęzie drapały, ziemia pod nogami była nierówna i grząska. Na dodatek narobili sporo hałasu, walcząc z czepiającymi się ubrań gałęzmi. Gdyby cmentarza pilnował ktoś jeszcze oprócz – jak sprawdzili wcześniej – starego mnicha, właściciela nie mniej wiekowego, łysiego i głuchego psa, na pewno zostaliby usłyszani.

– Psiakrew, co za fach! – warknął Berrok, czując jak mu buty przemakają od błota. – Ot, nowe kamasze kupilem... Oż ty! – jęknął, bo nagle stracił równowagę i wywrócił się.

Dalian nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– A skądś srebro wziął na ten zakup – stanął nad gramolącym się z ziemi, umazanym błotem Berrokiem. – Czy z maminej, czy może z mojej sakiewki, co?

– A żeby cię... – mruknął Berrok, wycierając twarz w rękaw, a mokre dłonie w nogawice spodni.

Szli teraz wzdłuż drogi, przez wysoką do kolan, wilgotną trawę, co chwila złorzecząc. Każda jednak próba zbliżenia się do ścieżki gwałtownie rozpalała medaliony. Gdyby ich nie mieli – pewnie już leżeliby na drodze, zamroczeni lub martwi.

“Nie wiadomo, co gorsze – Berrok powoli odżałowywał wydane na medaliony złota – znaleźliby nas o świcie nieprzytomnych i ani chybi oddali katu.”

Na tę myśl Berrok aż się wzdrygnął.

– Za dobrze idzie – mruknął.

– Tfu, zamknij dziób, kuku jeden – skarcił go Dalian i zamilkł, bo dostrzegł przed sobą jasny, prostokątny kształt. – To tam.

Grobowiec tana wykonano niezwykle starannie, ale bez zbędnego przepychu. Przednią ścianę ozdobiono dwoma płaskorzeźbami przedstawiającymi mnichów-rycerzy – stojących na szeroko rozstawionych nogach, wspartych o miecze. Figury były naturalnej wielkości i Berrok aż się wzdrygnął – przez chwilę myślał, że to prawdziwi ludzie strzegą grobowca tana. Kute w brązie

drzwi szczelnie przylegały do kamiennego portalu. Nie miały zamka – zasuw, haka, czy otworu na klucz.

– No, wyciągaj ten papier – szepnął Berrok. Dalian chwilę grzebał w przewieszanej przez pierś sakwie, wreszcie wyjął mały arkusik pergaminu.

– Ciemno, psiakrew, jak w lochu – mruknął, starając się odczytać litery.

– Miałeś się tego nauczyć, nie? – sapnął Berrok. – Żeby to piorun palnął! Patrz!

W ręku trzymał urwany rzemień – resztki sakiewki, którą zwykle nosił u pasa.

– A żeby cię pokręciło, gangreno jedna, gdzieżeś to zgubił?

– Nie wiem.

– Ale ja wiem, że piwo chlałeś, zamiast się przygotować...

– Miałem krzesiwo! Pewnie kiedy się przewróciłem... I co teraz?

– Ano – Dalian zawiesił na chwilę głos – ktoś tu musi myśleć, durniu jeden. Na wszelki wypadek ja się tego hasła nauczyłem. Jeszcze się kiedyś przyda, nie? Może nie tylko grabarze trumny, ale i kluczownicy skarbczyki nim zatrzaskują...

Urwał, bo coś zaszeleściło w krzakach.

– Ykyhym – rozległ się warkotliwy, suchy głos, jakby szczerzenie.

Przypadli do ziemi, sięgając od razu po sztylety i wpatrując się w czarne zarysy drzew i grobowców, ledwie widocznych w ciemności. Znow ten szelest, jakby coś przedzierało się przez krzaki. Coś dużego.

Berrok ruszył się, chciał się przeczołgać za róg grobowca tana, ale Dalian przytrzymał go ruchem dłoni.

– Nie drgnij nawet – szepnął.

Coś parskło gniewnie, pojękiwało, prychało, przeciskając się między krzakami.

Nagle wszystko ucichło.

Dalian poczuł, jak poci mu się ręka ściskająca rękojeść sztyletu.

“Nigdy więcej na cmentarz – obiecywał sobie w myślach Berrok – uczciwe łupiestwo jest na ulicy, nigdy więcej...”

Tajemnicze stworzenie znow się poruszyło, lecz, ku zdziwieniu obu złodziei, tym razem zaczęło się oddalać. W końcu przestali je słyszeć.

– Co to było? – spytał Berrok. – Może nam się zdawało tylko?

– Co to, ja głupi, czy co? Albo to jakiś zwierz z lasu wylazł, albo...

– I przez płot przelazł, żeby sobie po mnisim cmentarzu pochodzić. Co ty pleciesz...

– Na pewno są jakieś dziury w murze, mógł przejść.

– No to i może wrócić, zaczynamy robotę.

Wciąż było ciemno.

Dalian jeszcze raz i znow na próżno próbował cokolwiek odczytać z pergaminu. Pokiwał głową, zmiażdżył kartkę i zamknął oczy. Wyciągnął rękę i dotknął palcami chłodnej powierzchni drzwi. Powoli, uważnie zaczął recytować podane im przez kowala hasło otwierające. Jeśli tamten coś sknocił, to mogą mieć teraz spore kłopoty.

W tym czasie Berrok zaczął polewać krawędzie i zawiasy drzwi, zabraną z domu oliwą.

I oto drzwi drgnęły. Skrzypnęły raz, drugi, jakby cicho zajęczały, niezadowolone, że ktoś porusza je ze snu, zmusza do pracy.

– Działa – szepnął uradowany Berrok.

Lecz nagle ruch ustał – drzwi otwarły się tyle tylko, by człowiek mógł się przez nie przecisnąć. Spróbowali popchnąć je dalej, ale nawet nie drgnęły.

– Albo stary coś pokręcił – powiedział Dalian. – Albo miał tylko takie zakłęcie. Wchodzimy.

– Ciemno żesz mać – mruknął Berrok, lecz zaraz zamilkł. Był złodziejem i mordercą, to prawda. Kradł i zabijał bez litości – to fakt. Lecz rzadko plądrował groby i nawet na nim zrobiła wrażenie surowość wnętrza grobu.

Oczy mężczyzn stopniowo przyzwyczajały się do ciemności, zaczęli dostrzegać coraz więcej szczegółów. Katafalk stał naprzeciw wejścia. Prowadziły do niego dwa szerokie stopnie, na których ustawiono onegdaj wiele mis z płonącym olejem. Ogień dawno już się wypalił, a dym wsiąknął w ściany grobowca.

– Śmierdzi trupem – mruknął Berrok podchodząc do katafalku.

– A co myślałeś, że będzie pachnieć nasturcją? – uśmiechnął się Dalian.

Spowite w miękką tkaninę ciało półelfa nie poddało się rozkładowi, widocznie wcześniej mnisi dobrze je zakonserwowali.

“Na szczęście – pomyślał Dalian – gdybym miał wyciągać pierścień z kupy gnijącego mięsa...”

– Dobra, bierz złoto i idziemy – Berrok trącił go w ramię.

– No, już – Dalian wszedł na stopnie, pochylił się nad katafalkiem. Nawet nie zdjął zasłony oddzielającej twarz rycerza, sięgnął tylko pod spowijającą jego pierś materię. Zamknął dłoń na chłodnym i co dało się wyczuć, misternie zdobionym kształcie.

– Jest!

Dalian wyciągnął zza pasa nóż i przeciął rzemień, na którym wisiał pierścień.

– Aaaa – zaskowyczał nagle z bólu Berrok. – Pali!

I wtedy Dalian też poczuł. Wiszący na piersi, ochronny amulet rozgrzał się nagle, paląc pierś mężczyzny. Cenny pierścień potoczył się po posadzce.

Zza drzwi uszu mężczyzn dobiegło groźne sapanie i odgłos ciężkich kroków. Ktoś stał na progu grobowca.

Próbując zerwać z piersi palący ciało amulet, Dalian zdołał sformułować tylko jedną myśl. Myśl, od której włosy zjeżyły mu się na głowie.

“To nie jest zwierzę! O Bogowie, to nie jest zwierzę!”

Berrok zaskowyczał ze strachu. On pierwszy zobaczył.

Drzwi grobowca drgnęły, otwierając się na pełną szerokość. Stała w nich, przesłaniając potężną sylwetką prawie całe wejście, szara postać. Dalian rozpoznał ją. Ożywionego kamiennego rycerza, strzegącego dotąd wejścia grobowca.

Strach zawładnął rozumem Daliana. Ale złodziejski instynkt, odziedziczony po ojcu złodzieju, który przejął go z kolei od swego ojca rzeźmieszką, dał o sobie znać. Umysł Dalian jęknął z trwogi. mięśnie człowieka działały.

– Berrok! – krzyknął. – Broń się!



I jego przyjaciel nie był w ciemni bity. Rycerz nie rycerz, z kamienia nie z kamienia – każdego, kto miecz nosi, mieczem można zabić.

Przynajmniej tak im się zdawało.

Bo gdy kamienny wojownik zrobił krok w ich stronę, zrozumieli, że żywi nie wyjdą z tego grobowca. Stał sztywno i powoli, podnosząc nogi jakby z trudem. Wciąż jednak blokował drzwi i gdy zamachnął mieczem, to byłby zdolny i ściąć dwie głowy na raz.

Berrok skoczył do przodu. Zamarkował atak, przygiął się do ziemi, a gdy ciężki miecz świsnął mu nad głową, wyprowadził błyskawiczny cios sztyłem. Stał zadzwieczęła, sypnęły się skry, lecz rycerz nawet nie zadrżał. Nie czuł bólu. Teraz dopiero Dalian dostrzegł, że ów kamienny stwór nie ma twarzy. W miejscu głowy tkwiła jajowata kula, jakby rzeźbiarzowi zabrakło czasu czy ochoty na dokończenie dzieła. Dalian nie miał nawet czasu się wzdygnąć, bo oto w drzwiach stanął drugi rycerz z płaskorzeźby. Ten miał twarz, za to zdawało się że nie wyrzeźbiono mu dłoni – kamienny miecz wyrastał prosto z jego przedramion.

I nagle Dalian zrozumiał, dlaczego pierwszy strażnik nie zabił ich od razu. Chciał pojmać ich żywcem, by jego władca, ten który tchnął w kamienne truchła życie, mógł się do woli nacieszyć ciałami złodziejasków. A może... może potrzebował ich do jakichś magicznych doświadczeń. Dalian po raz pierwszy w życiu bał się naprawdę.

Kamienni rycerze ruszyli ku ludziom – końce ich mieczy drżały.

– Dalian... – rozpaczliwie jęknął Berrok.

Zrobił unik przed uderzeniem, które niechybnie pozbawiłoby go przytomności. W oddali, na dworze, rozległy się pierwsze nawoływania przeczesujących cmentarz mnichów.

Dalian cofnął się jeszcze krok, opierając biodrami o katafalk. Miecz kamiennego rycerza zawinął o włos od jego twarzy.

– Neeee – to Berrok stracił panowanie nad sobą, gdy kamienna ręka opadła na jego ramię, ściskając je w miazdzącym uścisku. Dalian poczuł, że dłońmi opiera się już o trupa tana. Nie było gdzie dalej uciekać.

Gniewne nawoływania były coraz bliżej. Nagle, tuż obok, rozległ się jeszcze jeden głos. Gniewny pomruk, sapnicie, gulgot wściekłego zwierzęcia.

W drzwiach grobowca stanęła pokraczna postać. Kamienni strażnicy zawahali się, obaj odwrócili w kierunku wyjścia.

– Ykyhym – stęknęło stworzenie stając w drzwiach.

– Chodu! – Dalian odzyskał przytomność umysłu. Odwrócił się, chwycił lekkie truchło, cisnął w rycerza. Kamienny miecz przeciął je jak słomkę. Lecz nim obudzony czarem strażnik wyprowadził drugi cios, Dalian śmignął pod jego ramionami. kątem oka dostrzegł, że i Berrok rzucił się do ucieczki. Usłyszał krzyk przyjaciela, gdy koniec kamiennego miecza zahaczył o jego ramię, ale na szczęście Berrok zachował równowagę.

Dalian upadł na ziemię. Poczuł ból, coś wbiło mu się w bok, przebijając kaftan i skórę. Wiedział co to jest – pierścień tana. Dalian zgarnął łup z podłogi, poderwał się z posadzki i skoczył ku wyjściu, wrzeszcząc jak oszalały.

Stworzenie w drzwiach – pokręcony, dygocący półork, ubrany w jakieś szmaty, z zaślinioną gębą – przeraziło się tego krzyku, bo odwróciło się i pognęło między krzaki. To dało włamywaczom wolną drogę. Wyprysnęli z grobowca, niczym race odpalane z wyrzutni przez ostrogarskich raketników w czasie jarmarku. Zobaczyli dziesiątki ogników – mnisi byli tuż tuż. Nie zatrzymując się ani na chwilę, mężczyźni pognali wprost przed siebie, by jak najszybciej dotrzeć do granicy

omentarza.

Za plecami słyszeli krzyki ludzi, gniewny ryk kamiennych strażników i przeraźliwy skowyt szalonego pólorka.

Berrok kuśtykał, Dalian czuł ból w przebitym przez pierścień boku.

Uciekali, a co najważniejsze – mieli ze sobą łup, po który tu przyszli. Nadzieja rychłego bogactwa dodawała ich nogom szybkości nie mniej, niżli strach przed mnichami Oriaka i ich magią.

Uciekli.

#### 4.

– A żeby zaraza wybiła do nogi całe kowalskie plemię! – Dalian chodził po izbie tam i z powrotem klnąc na czym świat stoi.

– A żeby! – Berrok był już porządnie pijany. Zalewał ból skrzyconej nogi i wściekłość.

– Ledwośmy z życiem uszli. I złoto wydane, co za dzień, o bogowie! – jęczał wciąż Dalian.

– Trzeba się pakować – niespodziewanie Berrok podjął decyzję. – Statek odpływa o świcie.

– Statek, statek, mi od pływania to się żywot psuje.

Stara Myadyra spała w kącie, chrapiąc głośno.

– Nie wymigasz się, Dalian, o nie. Może ja głupi jestem, ale nie aż tak. Jedziemy razem, albo wcale!

– A niech to... – Dalian pociągnął łyk piwa. – I myśmy niezgorsze durnie. Tak się dać podpuścić.

Musieli jednak popłynąć na Tadem. Tak jak ich prosił Orrik.

Nie okłamał ich, tej pijackiej nocy nie raz dokładnie powtarzali sobie jego słowa. Tak, powiedział, że pierścień jest bardzo cenny. I że na Tadem kowale zapłacą za niego ile się da – bowiem jest to ich rodowy, pradawny znak. Dla nich, pierścień ma ogromną wartość.

Ale tylko dla nich. Na żadnym z ostrogarskich targowisk Berrok i Dalian nie dostaliby za niego choćby i dwóch sztuk srebra. Dlatego musieli jechać na Tadem, licząc, że odzyskają choćby to złoto, które wydali na magiczne amulety.

Na stole, pomiędzy pustymi kuflami, w kałuży rozlanego piwa leżał pięknie wykuty, stary, dla kowalskiego rodu bardzo cenny – ale tylko żelazny – pierścień.

**KONIEC**